

POWIEŚĆ AUTORA CYKLU SIGMA FORCE

# JAMES ROLLINS

A lush tropical jungle scene at sunset. Two men in dark, rugged clothing stand on a rocky outcrop in the foreground. The background is filled with dense green foliage and palm trees, with a warm orange and yellow glow from the setting sun behind them.

## OŁTARZ EDENU

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE ALTAR OF EDEN

Copyright © Jim Czajkowski 2010  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Lech Z. Żołądzowski 2011

Redakcja: Beata Słama

Zdjęcia na okładce: © Dwinanda Nurhanif Mujito/Unsplash,  
Ben Karpinski/Unsplash

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# Prolog

Kwiecień 2003

Bagdad, Irak

Chłopcy zatrzymali się przed klatką lwa.

– Nie chcę tam wchodzić – powiedział młodszy. Stał blisko starszego brata i kurczowo trzymał go za rękę.

Obaj byli okutani w za duże kurtki, twarze mieli osłonięte chustami, na głowach wełniane czapki. Było bardzo wcześnie, słońce jeszcze nie weszło i poranny chłód przenikał do szpiku kości.

Musieli się ruszać.

– Bari, klatka jest pusta. Nie bądź głupi. Popatrz. – Makeen, starszy z braci, pchnął bramkę z żelaznych prętów i oczom chłopców ukazało się puste wnętrze ze ścianami z betonu. W ciemnym kącie leżało kilka starych ogryzionych kości. Przydadzą się na zupę.

Makeen rozglądał się po zrujnowanym zoo. Pamiętał, jak kiedyś wyglądało. Pół roku wcześniej z okazji jego dwunastych urodzin urządzili sobie piknik w parku Al-Zawraa i wtedy odwiedzili też wesołe miasteczko z jego różnymi atrakcjami i ogród zoologiczny. Rodzina spędziła długie ciepłe popołudnie, kręcąc się wśród klatek z małpami i papugami i zagród dla wielbłądów, wilków i niedźwiedzi. Makeen nakarmił jabłkiem wielbłąda i do dziś pamiętał dotyk jego gumowatych warg na swojej dłoni.

Stał teraz i rozglądał się po tym samym zoo dojrzałszymi oczami – o wiele dojrzałszymi, niż mogłyby dojrzeć przez sześć miesięcy.

Było jedną wielką ruiną i składowiskiem śmieci. Pustkowiec straszącym osmolonymi od ognia murami, sadzawkami śmierdzącej oleistej wody i kupami gruzu.

Miesiąć temu Makeen przyglądał się z okna ich mieszkania położonego w pobliżu zoo, jak piękna soczysta zieleń umiera w ogniu walk toczonych przez Amerykanów z oddziałami Gwardii Republikańskiej. Gwałtowna potyczka zaczęła się o zmierzchu terkotem broni maszynowej i gwizdami pocisków raketowych i trwała całą noc.

Jednak rano wszystko ucichło i tylko niebo zasnuwały gęste kłęby dymu, które przez resztę dnia przesłaniały słońce. Z balkonu ich niewielkiego mieszkania Makeen wypatrzył lwa, który wybiegł z zoo i ruszył w miasto. Wyglądał jak ciemna zjawa, która chwilę potem wtopiła się w mrok ulic. Z klatek pouciekały też inne zwierzęta, a ich miejsce zajęły ludzkie hordy, które przez następne dwie doby buszowały po zoo.

Jego ojciec nazywał ich szabrownikami, na ich widok spluwał ze wstrętem i obrzucał okropnymi wyzwiskami.

Szabrownicy włamywali się do klatek i rozkradali pozostałe zwierzęta – niektóre, by je zabić na mięso, inne, by sprzedać na targu za rzeką. Ojciec Makeena wybrał się na miasto z grupą mężczyzn chcących zorganizować ochronę przed bandami włóczących się po dzielnicy rzezimieszków.

Nigdy go już więcej nie zobaczyli. Żadnego z pozostałych mężczyzn też nie.

Przez następne parę tygodni obowiązek wykarmienia rodziny spoczywał na barkach Makeena. W tym czasie matka leżała w łóżku z głową rozpaloną gorączką, zagubiona między przerażeniem a rozpacą. Chłopcu nie udawało się w nią wmusić nic poza paroma łykami wody.

Gdyby tak udało się ugotować smaczną zupę, namówić, żeby coś przełknęła...

Znowu obrzucił spojrzeniem kupkę kości w kącie klatki. Codziennie przed świtem buszowali z bratem po zbombardowanym parku i zoo w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Po to miał na ramieniu jutowy worek, ale dziś była w nim tylko jedna nadpsuta pomarańcza i garść ziarna zebranego z podłogi klatki dla ptaków. Mały Bari znalazł w pojemniku na śmieci pogiętą puszkę fasolki. Znaleźisko sprawiło, że do oczu Makeena napłynęły łzy radości. Skarb tkwił teraz dobrze schowany pod grubym swetrem młodszego brata.

Wczoraj starszy od Makeena chłopak z długim nożem w ręce odebrał Makeenowi worek. Bracia wrócili do domu z pustymi rękami i do końca dnia nie mieli nic w ustach.

Ale dziś się najedzą.

Może nawet matka coś zje, *inszallah*, jak Bóg da, pomyślał.

Makeen wszedł do klatki i pociągnął za sobą Bariego. Z oddali dobiegały odgłosy krótkich serii z broni maszynowej, jakby ktoś klaskał szybko, by ich odstraszyć.

Makeen nastawił uszu. Wiedział, że muszą się pospieszyć. Nie chciał, żeby zastał ich tu wschód słońca. Zrobiłoby się zbyt niebezpiecznie. Podbiegł do kości, zdjął worek z ramienia i zaczął wrzucać do niego obgryzione i pogruchotane gnaty.

Zebrał wszystko, odciągnął worek i wyprostował się, jednak nim zdążył zrobić pierwszy krok, z bliska dobiegł ich głos mówiący po arabsku.

– *Jalla!* Tędy! Tutaj!

Makeen skulił się i pociągnął za sobą Bariego. Ukryli się za murem z cementowych bloczków z przodu klatki. Objął brata i na migi nakazał mu milczenie. Przed klatką przesunęły się dwa duże cienie.

Postanowił zaryzykować i wyjrzeć. Zobaczył dwóch mężczyzn: jednego wysokiego w połowym mundurze khaki, drugiego przysadzistego i z wydatnym brzuchem, ubranego w ciemny garnitur.

– Wejście jest za ambulatorium dla zwierząt – powiedział grubas, mijając klatkę lwa. Dyszał i sapał, starając się dotrzymać kroku mężczyźnie w mundurze. – Mogę się tylko modlić, żebyśmy nie przyszli za późno.

Makeen dostrzegł pistolet w kaburze przy pasie wyższego i pomyślał, że gdyby ich przyłapali na podsłuchiwanie, nie uszliby z tego z życiem.

Wtulony w brata Bari wyczuł jego strach i zadygotał.

Niestety, mężczyźni nie odeszli zbyt daleko. Ambulatorium mieściło się w budynku naprzeciwko ich kryjówek. Gruby przeszedł obojętnie obok otwartych na oścież drzwi. Wiele dni temu wyważono je łomem i wyczyszczono ambulatorium z wszelkich lekarstw i środków opatrunkowych.

Zatrzymał się dopiero przed murem z dwiema kolumnami. Makeen nie dojrzał, co dokładnie zrobił ten grubszy, zauważył tylko, że wsunął rękę za jedną z kolumn i po chwili fragment muru odchylił się, ukazując tajemne wejście.

Makeen przysunął się bliżej kraty. Ojciec czytał im baśnie o Ali Babie, tajemnych pieczarach na pustyni i ukrytych w nich nieprzebranych skarbach. On i brat znaleźli w zoo tylko ogryzione kości i puszkę fasolki. Makeen poczuł skurcz żołądka na myśl o uczcie godnej Księcia Złodziei, jaka mogła tam na nich czekać.

– Zaczekaj tu – powiedział gruby, wciskając się w szparę w murze i ruszając w dół po ciemnych schodkach.

Człowiek w mundurze stanął przy wejściu z dłonią wspartą na rękojeści pistoletu i niespiesznie przeniósł wzrok na ich kryjówkę. Makeen schował się i wstrzymał oddech, czując, jak mu wali serce.

Czy tamten go zauważył?

Makeen usłyszał zbliżające się kroki i z całej siły przyłgnął do młodszego brata. Chwilę później dotarł do jego uszu trzask zapalanej zapalniczki i poczuł dym papierosa. Mężczyzna zaczął się prze-

chadzać wzdłuż kraty lwiej klatki, jakby to on był w niej uwięziony: chodził tam i z powrotem niczym znudzony tygrys.

Bari zadygotał, a jego palce jeszcze mocniej zacisnęły się na rękach brata. A jeśli mężczyzna postanowi zajrzeć do klatki i znajdzie ich ukrytych za murkiem?

Wydawało im się, że minęła cała wieczność, nim usłyszeli świszczący z wysiłku głos grubasa, który wystawił głowę z otworu w murze.

– Mam! – sapnął.

Niedopałek upadł na cembrowinę i został rozgnieciony butem tuż przy wejściu do klatki. Człowiek w mundurze pospieszył tam, skąd dobiegł głos, i dołączył do kompana.

Grubas próbował coś wydusić, z trudem łapiąc powietrze. Wyglądało na to, że całą drogę powrotną po schodach przebył biegiem.

– Inkubatory były odłączone – wysapał. – Nie wiem, jak długo działały generatory po wyłączeniu prądu.

Makeen zaryzykował wyściubienie nosa przez kratę. Grubas trzymał w ręce dość dużą metalową walizkę.

– Są bezpieczne? – upewnił się wojskowy. Mówił po arabsku, ale jego akcent nie wskazywał, aby był to Irakijczyk.

Gruby przyklęknął na jedno kolano, oparł walizkę na masywnym udzie i uniósł wieko. Makeen spodziewał się ujrzeć złoto i kosztowności, ale w walizce było tylko kilkanaście białych jajek w zagłębieniach wyżłobionych w czarnej gąbce. Z wyglądu nie różniły się od zwykłych kurzych jajek, jakie matka kupowała na targu.

Mimo paraliżującego go strachu Makeen poczuł nagłe ukłucie głodu.

Mężczyzna policzył jajka i po kolei obejrzał.

– Wszystkie całe – stwierdził i westchnął z ulgą. – Bóg da, że zarodki w środku okażą się żywe.

– A reszta laboratorium?

– Zostawiam to tobie i twoim ludziom – powiedział gruby, zamykając walizkę i podnosząc się z klęczek. Wszystko tam ma spłonąć. Nikt nie może się domyślić, co odkryliśmy. Nie może zostać żaden ślad.

– Wiem, co mam robić.

Wojskowy wyjął pistolet i strzelił grubemu prosto w twarz. Strzał huknął jak uderzenie pioruna, z dziury wyrwanej w tyle czaszki trysnęła fontanna krwi i pogruchotanych kości. Grubas jeszcze przez moment stał, po czym runął martwy na ziemię.

Makeen zatkał usta dłonią, by nie wydać żadnego dźwięku.

– Nie może zostać żaden ślad – powtórzył morderca, schylając się po walizkę. Dotknął przycisk radiotelefonu na ramieniu i powiedział po angielsku: – Sprowadźcie ciężarówki i przygotujcie ładunki zapalające. Trzeba się stąd wynosić, zanim pojawią się miejscowi.

Makeen zdołał liźnąć trochę amerykańskiego żargonu wojskowego. Nie rozumiał wszystkiego, co mężczyzna powiedział, ale rozumiał to, co najważniejsze.

Zjawia się tu następni. Będzie więcej wojska i więcej broni.

Zaczął się zastanawiać nad drogą ucieczki, ale byli przecież w środku lwiej klatki. Młodszy brat chyba też wyczuł narastające niebezpieczeństwo, bo od chwili wystrzału zaczął jeszcze bardziej dygotać. W końcu przerażenie wzięło górę i z jego wątlej piersi wyrwał się cichy szloch.

Makeen ścisnął mocniej dłoń brata, modląc się w duchu, by jego płacz nie dotarł do uszu mężczyzny.

Do klatki znów zbliżyły się kroki, ciszę rozdarło głośne warknięcie po arabsku.

– Kto tam jest? Pokazać się! *Ta'aal hmaa!*

Makeen przysunął wargi do ucha brata.

– Siedź tu. Nie ruszaj się.

Wepchnął Bariego głębiej w narożnik, a potem podniósł się z rękami uniesionymi nad głową i zrobił krok do tyłu.



– Szukałem tylko jedzenia – powiedział, jękając się ze strachu.

Lufa pistoletu pozostawała skierowana w jego stronę.

– Wyłaż stamtąd, *walad!*

Makeen wykonał polecenie. Zbliżył się do drzwi klatki i wyszedł, nie opuszczając rąk.

– Proszę, *ahki. Laa termi!* – Spróbował mówić po angielsku, chcąc pokazać, że jest sojusznikiem mężczyzny. – Nie strzela. Ja nie widzę... Ja nie wiem...

Rozpaczliwie szukał w myślach jakiegoś argumentu, słów, które go uratują. Na twarzy mężczyzny dostrzegł mieszaninę zawziętości i współczucia.

Ręka z pistoletem uniosła się w bezlitosnym geście.

Makeen poczuł, jak po policzkach płyną gorące łzy.

Nagle w jego rozmytym przez łzy polu widzenia pojawił się jakiś cień. Tajemne drzwi za plecami mężczyzny uchyliły się nieco szerzej, pchnięte od środka. Z głębi wyłonił się duży ciemny kształt i zaczął sunąć w stronę mężczyzny. Poruszał się nisko przy ziemi, trzymając się cienia, jakby unikał światła.

Makeen kątem oka dojrzał połyskliwy zarys jakiegoś zwierzęcia: muskularnego, smukłego, pozbawionego sierści, ze wzrokiem płonącym agresją. Próbował wygrzebać z pamięci nazwę tego, co widzi przed sobą, ale bezskutecznie.

W jego piersi zaczynał wzbierać krzyk przerażenia.

Wprawdzie bestia poruszała się bezszelestnie, ale mężczyzna musiał szóstym zmysłem wyczuć zagrożenie, bo odwrócił się w chwili, gdy zwierzę runęło na niego z głośnym skowytym. Rozległ się huk wystrzałów i towarzyszące im przerażające wycie, od którego Makeen dostał gęsiej skórki na całym ciele.

Odwrócił się i wpadł do klatki.

– Bari!

Złapał brata za rękę, wyciągnął z klatki i pchnął do przodu.

– *Jalla!* Uciekaj!

Na ziemi parę kroków od nich trwała walka człowieka i bestii.

Rozległy się kolejne strzały.

Makeen usłyszał na chodniku za plecami ciężki tupot wojskowych butów. Z drugiego końca parku nadbiegało kilku mężczyzn, krzykom towarzyszył huk wystrzałów karabinowych.

Nie zważając na nic, gnany przerażeniem Makeen puścił się pędem przez zrujnowane zoo, nawet nie myśląc o tym, czy go ktoś widzi. Biegł ile sił w nogach, słuchając rozlegających się za nim dzikich odgłosów walki, które do końca życia miały do niego powracać w sennych koszmarach.

Nie rozumiał nic z tego, co się wydarzyło, ale jednego był pewny: zapamiętał wygłodniały wzrok bestii, w którym przebiegłej inteligencji towarzyszyły piekielne błyski.

Makeen wiedział, co to było.

To bestia występująca w Koranie jako szatan – ten, który narodził się z boskiego ognia i został przeklęty za to, że nie poddał się woli Adama.

Makeen znał prawdę.

Diabeł wreszcie zawitał do Bagdadu.

# 1

Nowy Orlean

23 maja, godzina 7.32 czasu miejscowego

Przedzierając się przez wertepy pozostałe po huraganie, ford bronco wpał w kolejną wyrwę, a Lorna o mało nie wyrzuciła głowę w dach. Samochód zatańczył na mokrej jezdni. Zdjęła nogę z gazu i odzyskała kontrolę nad pojazdem.

Żywiół ogołocił ziemię z roślinności, spowodował, że strumienie wylały z brzegów, a w czyimś basenie pojawił się aligator. Wprawdzie resztki zamierającego huraganu najsilniej uderzyły nieco dalej na zachód, potężne ulewy dowodziły jednak, że Matka Natura postanowiła nowoorleańską parafię\* zamienić na powrót w mokradła.

Jadąc groblą wzdłuż rzeki, Lorna nie mogła się uwolnić od myśli o tym, co usłyszała. Zadzwoniono do niej dwadzieścia minut temu z wiadomością, że w ACRES mają awarię zasilania, generatory nie zadziałały i setka projektów badawczych jest zagrożona.

Objechała ostatni zakręt Missisipi i ujrzała przed sobą kompleks zabudowań ACRES. Ośrodek Badawczy Gatunków Zagrożonych im. Audubona rozciągał się na ponad czterystu hektarach terenów nadrzecznych pod Nowym Orleanem i choć administra-

---

\* Luizjana administracyjnie nie dzieli się na hrabstwa, jak inne stany w USA, lecz na parafie.

cyjnie powiązany z miejskim zoo, był zamknięty dla zwiedzających. Na kompleks składał się szereg ukrytych w lesie zagród dla zwierząt, ale centralnym punktem był mający ponad trzy tysiące trzysta metrów kwadratowych budynek z pracowniami naukowymi i kliniką.

Właśnie w niej pracowała doktor Lorna Polk, która znalazła tu zatrudnienie po stażu podyplomowym z opieki medycznej nad zwierzętami żyjącymi na wolności i w ogrodach zoologicznych. W ramach obowiązków odpowiadała za tak zwane zamrożone zoo – dwanaście pojemników z ciekłym azotem, w których trzymano plemniki, jajeczka i zarodki wielu gatunków zagrożonych wyginięciem: górskich goryli, tygrysów sumatrzańskich, gazeli Thomssona, gerezy rudej czy bawołów afrykańskich.

Stanowisko wiązało się z dużą odpowiedzialnością, zwłaszcza dla zaledwie dwudziestoosmioletniej dziewczyny tuż po stażu. Podlegający jej zamrożony bank genetyczny pozwalał mieć nadzieję, że dzięki sztucznym zapłodnieniom, transferowi zarodków i klonowaniu zagrożone gatunki unikną ostatecznego wyginięcia. Mimo ciężającej na niej odpowiedzialności Lorna kochała swoją pracę i czuła, że jest w niej dobra.

Pędząc drogą dojazdową ku głównemu budynkowi, usłyszała świergot umieszczonej na desce rozdzielczej komórki. Zdjęła ją z uchwytu i prowadząc jedną ręką, podniosła do ucha.

Dzwoniący musiał usłyszeć, że komórka została włączona, bo nie czekając na ogłoszenie, od razu zaczął mówić.

– Pani doktor, tu Gerald Granger z technicznego. Pomyślałem, że powinienem panią zawiadomić. Generatory już działają i zasilania brakuje tylko w jednej sekcji.

Lorna spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Awaria zasilania trwała blisko trzy kwadransy. Szybko policzyła w głowie i odetchnęła z ulgą.

– Dzięki, Geraldzie. Za minutkę będę na miejscu.  
Zatrzasnęła klapkę i umieściła telefon w uchwycie.

Wjechała na parking dla pracowników, zaparkowała i oparła czoło o kierownicę. Uczucie ulgi było tak namacalne, że niewiele brakowało, a rozplakałaby się. Jeszcze przez chwilę dochodziła do siebie, a potem podniosła głowę i spojrzała na dłonie złożone na kolanach. Nagle uświadomiła sobie, jak jest ubrana. Wyskoczyła z domu w pogniecionych dżinsach, starym szarym golfie i kozakach do pół łydki.

Nie wyglądała na elegancką profesjonalistkę, za jaką zawsze chciała uchodzić.

Obracając się na fotelu w stronę otwartych drzwi, zerknęła jeszcze w lusterko wsteczne.

Boże święty...

Jej blond włosy – zwykle gładko zaczesane – były potargane i zerbane w niedbały koński ogon. Związała je zaraz po wstaniu z łóżka, nie zważając na wymykające się kosmyki, i już ich nie poprawiała. Nawet okulary w czarnych oprawkach siedziały na nosie jakoś krzywo i Lorna pomyślała, że wyglądem bardziej przypomina skawioną studentkę po nocnych szaleństwach podczas Mardi Gras.

Ale skoro tak, to równie dobrze może pójść na całość. Rozpięła klamrę trzymającą koński ogon i rozpuściła włosy, pozwalając, by opadły luźno na ramiona. Wysiadła z samochodu i ruszyła do głównego wejścia.

Nim do niego dotarła, jej uwagę przyciągnął jakiś nowy dźwięk: narastający głośny łoskot. Odwróciła głowę i ujrzała biały śmigłowiec, który wyłonił się spoza linii drzew za Missisipi. Leciał szybko, prosto na nią.

Ściągnęła brwi i w tym momencie poczuła na ramieniu czyjąś rękę. Drgnęła, ale palce zacisnęły się uspokajająco. Odwróciła głowę i ujrzała twarz swojego szefa i mentora, doktora Carltona Metoyera, dyrektora ACRES. Hałas nadlatującego śmigłowca musiał zagłuszyć jego kroki.

Starszy od Lorny o trzydzieści lat doktor Metoyer był wysokim żyłastym mężczyzną ze strzechą siwych włosów i krótko przystrzy-

żoną szpakowatą bródką. Jego przodkowie zamieszkiwali te tereny równie długo jak przodkowie Lorny i wywodzili się z kreolskiej kolonii o francusko-afrykańskich korzeniach, leżącej nad rzeką Cane.

Doktor Metoyer przysłonił oczy i spojrzął w niebo.

– Mamy gości – powiedział.

Nie ulegało wątpliwości, że śmigłowiec leci do nich. Oddalił się w stronę przylegającego do budynku pola i zaczął się obniżać. Lorna dostrzegła, że to nieduży śmigłowiec typu A-Star wyposażony w pływaki zamiast zwykłych płóz. Zauważyła też zielony pas biegnący przez biały kadłub. Po Katrinaie większość mieszkańców Nowego Orleanu dobrze znała te barwy. Helikopter należał do Straży Granicznej i po huraganie nad miastem latały całe eskadry takich maszyn, niosąc pomoc ofiarom kataklizmu.

– Co oni tu robią? – zdziwiła się.

– Przylecieli po ciebie, moja droga. To twoja taksówka.

## 2

Helikopter ostro wystartował i Lorna poczuła, że opada jej żołądek, nie tyle z przeciążenia, ile ze strachu. Siedząc obok pilota, kurczowo wczepiła się dłonią w uchwyt. Łoskot wirnika wibrował jej w uszach mimo słuchawek. Czuła się jak podczas jazdy windą, tyle że z napędem rakietowym.

Nigdy nie była miłośniczką wysokości i generalnie nienawidziła latać, a wyruszenie w podróż latającą kosiarką uważała za szczyt głupoty. Wcześniej tylko raz w życiu leciała helikopterem. Było to w RPA podczas praktyki podyplomowej, kiedy kazano jej uczestniczyć w akcji liczenia słońi afrykańskich na terenach przylegających do rezerwatu. Wtedy mogła się jednak przygotować i połknąć przed lotem dwie tabletki xanaxu, a mimo to przez wiele godzin po wylądowaniu miała nogi jak z waty.

Dziś nikt jej nie uprzedził, że będzie leciała śmigłowcem.

Doktor Metoyer przekazał jej tylko kilka ogólnikowych informacji i zrobił to, gdy maszyna wylądowała. Nie pozwolił nawet Lornie wejść do budynku i sprawdzić stanu zbiorników z ciekłym azotem. Oświadczył, że personel już się tym zajmuje, a on osobiście tego dopilnuje i wyniki kontroli przekaże jej przez radio.

Przez radio...

Znaleźli się poza zasięgiem telefonii komórkowej.

Zaryzykowała spojrzenie w dół przez boczną szybę. Śmigłowiec zataczał koło, prezentując panoramiczny widok doliny Missisipi. Lecieli, z grubsza trzymając się koryta Big Muddy\*. Ta stara nazwa nabrała szczególnej aktualności po przejściu huraganu. Od mułu niesionego do Zatoki Meksykańskiej woda w rzece miała czekoladowobrunatną barwę.

Wkrótce wlecieli nad tereny rzecznej delty, gdzie tony nanoszonych osadów – mułu, gliny, piasku i ziemi – opadały na dno, tworząc gigantyczne, liczące ponad milion dwieście tysięcy hektarów przybrzeżne rozlewiska i słone mokradła. Teren ten miał nie tylko istotne znaczenie dla środowiska naturalnego jako kolebka ogromnego i złożonego ekosystemu, sięgającego korzeniami okresu jurajskiego, ale był też bardzo ważny w sensie komercyjnym. Stąd brały się ogromne ilości owoców morza, którymi karmiły się całe Stany Zjednoczone, także tutaj wydobywano dwadzieścia procent amerykańskiej ropy naftowej.

Rejon ten był też słabym ogniwem w łańcuchu zabezpieczeń chroniących granice państwa. Niezliczone wysepki, przesmyki wodne i rozrzucone wśród nich pomosty rybackie czyniły z delty wymarzony teren dla wszelkiego autoramentu przemytników i nielegalnych handlarzy. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego uznał rejon delty Missisipi za obszar podwyższonego ryzyka i zwiększył obsadę placówki straży granicznej w Nowym Orleanie.

Według słów szefa Lorny w związku z gwałtownym sztormem podczas ostatniej nocy ekipy straży granicznej przystąpiły do przeszukiwania terenu, wiadomo bowiem było, że przemytnicy narkotyków i broni, a nawet ludzi, chętnie korzystają z osłony burzy. Wcześniej rano jedna z ekip natknęła się na trawler wyrzucony na brzeg jednej z wyseppek na zatoce. Strażnicy zajrzeli do środka i postanowili wezwać specjalistę z ACRES.

---

\* Big Muddy (ang.) – big – wielki; muddy – błotnisty, mętny.



Przyczyny wezwania pozostawały tajemnicą nawet dla doktora Metoyera. Nie poinformowano go, ani dlaczego zwrócono się do ośrodka o pomoc, ani dlaczego poproszono akurat o Lornę.

Oprócz strachu związanego z przelotem Lorna czuła tłącą się w niej złość. Dzieło jej życia w ACRES znalazło się w niebezpieczeństwie, a ją wysyłają na jakieś zadupie. Co ona tu w ogóle robi? Podsycana strachem złość coraz bardziej w niej kipiała. Co tu jest grane? I dlaczego zażyczyli sobie akurat jej? W służbach graniczo-celnych nie ma żadnych znajomych.

Wiedziała, że z tymi pytaniami będzie musiała poczekać do chwili dotarcia na miejsce.

W słuchawkach na jej uszach coś zachrobotało i pilot wyciągnął rękę w stronę horyzontu. Miał na sobie zielony mundur z oznakami powietrzno-morskiej jednostki straży granicznej. Witając się z nią, przedstawił się, ale nie dosłyszała nazwiska.

– Za chwilę będziemy wodować, pani doktor – powiedział do mikrofonu.

Kiwnęła głową i rozejrzała się. Soczysty jednolity szmaragd rozlewiska pod nimi był nieco dalej upstrzony licznymi wysepkami i półwyspami. Dalej widać było ciągnące się większe wyspy barierowe stanowiące zaporę chroniącą wrażliwe przybrzeżne mokradła i rozlewiska.

Ale aż tak daleko nie lecieli.

Kawałek dalej dostrzegła białą łódź zakotwiczoną przy brzegu jednej z wysepek. Nareszcie! Zaczęli się zniżać i wtedy dojrzała też wyrzucony na wyspę stary kuter rybacki. Musiał wbić się w brzeg z dużym impetem, bo widać było długi, sięgający niemal środka wysepki ślad wyżłobiony w piasku i kilka powalonych drzew. Najwyraźniej został wyrzucony na brzeg przez fale sztormowe.

Śmigłowiec szybko obniżał wysokość i dłoń Lorny znów zacisnęła się kurczowo na uchwycie. Gdzieś czytała, że do większości katastrof lotniczych dochodzi podczas startu i lądowania. Nie była to wiedza, którą chciałaby teraz dokładniej analizować.

Parę metrów nad wodą tempo zniżania się zmalało, woda pod nimi wygładziła się od podmuchu wirnika i chwilę później śmigłowiec niczym gęś siadająca na stawie łagodnie opadł na wodę. Pilot coś popstrykał na desce rozdzielczej i łomot wirnika zaczął cichnąć.

– Proszę zostać na miejscu – powiedział. – Zaraz przyślą po panią łódź.

Pokazał głową w stronę okna i Lorna ujrzała niewielki ponton z silnikiem, który oderwał się od brzegu i ruszył w ich stronę. Chwilę później mężczyzna ubrany w mundur straży granicznej pomógł jej wysiąść ze śmigłowca i wsiąść do łodzi.

Opadła na ławeczkę, czując jednocześnie ulgę i motyle w brzuchu. Osłoniła oczy dłonią i wpatrzyła się w wyspę w nadziei, że dostrzeże coś, co pomoże jej zrozumieć przyczynę tak nagłego wezwania.

Mimo wczesnej pory zrobiło się już całkiem gorąco, bo słońce wyszło zza chmur i zaczęło wędrówkę po czystym niebie. Dzień zapowiadał się na typową dla Luizjany parówkę. Ale to Lornie nie przeszkadzało. By się uspokoić, głęboko zaczerpnęła powietrza przesyconego wonią butwiejących liści, wilgotnego mchu i błotnistej słonej wody.

Dla niej był to zapach rodzinnych stron.

Jej rodzina mieszkała w Luizjanie od początków XIX wieku i jak we wszystkich starych nowoorleańskich rodach dzieje jej przodków były tak poplątane jak linie na dłoni, a mimo to ich imiona i życiorysy znała tak dobrze, jakby wszyscy poumierali wczoraj.

Podczas wojny w 1812 roku jej prapradziadek w wieku zaledwie siedemnastu lat zrejerował z armii brytyjskiej, gdy trwała bitwa o Nowy Orlean, i osiadł na stałe w tym nowym, szybko rozkwitającym przygranicznym mieście. Pojął za żonę pannę z rodziny de Trépagner, po czym szybko dorobił się niewielkiej fortuny na uprawie trzciny cukrowej i indygowca na czterdziestohektarowej plantacji, którą dostał jako posag. Z biegiem lat fortuna rosła i rodzina Polków stała się jedną z pierwszych, które pobudowały się w poro-

śniętej dębami dzielnicy Garden District w Nowym Orleanie. Po sprzedaniu plantacji na dobre się tam rozgościli. W ciągu kolejnych pokoleń rezydencja Polków zapisała się w annałach towarzyskich jako miejsce spotkań generałów, prawników i licznych przedstawicieli świata nauki i literatury.

Pałac w stylu włoskim nadal stał, lecz z początkiem XX wieku rodzina Polków – podobnie jak całe miasto – zaczęła tracić na znaczeniu. Obecnie tylko Lorna i jej brat nosili rodowe nazwisko. Ich ojciec zmarł na raka płuc, gdy Lorna była jeszcze dzieckiem, matka odeszła rok temu, zostawiając rodzeństwu zrujnowany pałac i kupę długów.

Niemniej rodzinna tradycja dbania o wykształcenie przetrwała i Lorna skończyła medycynę oraz nauki ścisłe, jej o rok młodszy brat zrobił dyplom z zakresu wydobywania i przerobu ropy naftowej i znalazł zatrudnienie w państwowej firmie wydobywczej. Rodzeństwo – oboje stanu wolnego – mieszkało razem w rodzinnej posiadłości.

Zgrzyt gumowego dna szorującego po piasku przywołał Lornę do terazniejszości.

Na wysepce należącej do łańcucha ciągnącego się aż po przybrzeżne mokradła rośło mnóstwo cyprysów tak obrośniętych hiszpańskim mchem, że tuż za wąskim paskiem piachu zaczynała się nieprzebyta gęstwina.

Ale na szczęście nie tam ją poprowadzono.

– Tędy – powiedział kierujący pontonem. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wysiąść na brzeg, ale Lorna ją zignorowała i wyszła sama. – Nasz SOT już na panią czeka.

– SOT?

– Szef operacji terenowych.

Lorna nie знаła się na hierarchii służbowej w szeregach straży granicznej, ale tytuł wskazywał na kogoś dowodzącego całą operacją, więc to pewnie on spowodował oderwanie jej od obowiązków w ACRES. Chcąc wreszcie poznać odpowiedzi na swoje pytania,

bez słowa podążyła za przewodnikiem w stronę leżącego na piachu trawlera. Był nieduży, zaledwie czternastometrowy. Bomy na prawej burcie uległy zniszczeniu w wyniku uderzenia, ale na lewej wciąż sterczały ku niebu wraz ze zwisającymi z nich sieciami do połowu krewetek.

Wokół trawlera zebrała się grupka mężczyzn w polowych mundurach funkcjonariuszy straży granicznej. Część miała na głowach beżowe stetsony, inni zielone bejsbolówki, ale wszyscy mieli przy pasach kabury z bronią. Wszyscy z wyjątkiem jednego, który stał z opartym o ramię karabinem Remington.

Co się tutaj dzieje?

Na jej widok strażnicy przestali się przekrzykiwać i zapadła cisza. Kilka par oczu zlustrowało ją od stóp do głów, nie wykazując przy tym szczególnego zachwytu. Lorna starała się zachować obojętną i poważną minę, ale poczuła, że na jej policzkach wykwiłta rumieniec złości. Z trudem pokonała chęć dania im wszystkim nauczki.

Cholerny klub dużych chłopców.

Strażnicy rozstąpili się i oczom Lorny ukazał się mężczyzna ubrany w ciemnozielone spodnie i dopasowaną kolorem roboczą koszulę z długimi rękawami luzacko podwiniętymi do łokci. Przeczesał palcami ciemną, wilgotną od potu czuprynę i wcisnął na nią bejsbolówkę. Jego błękitnoszare oczy też prześlizgnęły się po niej od góry do dołu, ale w odróżnieniu od tamtych w jego spojrzeniu nie wyczuła żadnego erotycznego podtekstu. Patrzył na nią z czysto profesjonalnym zaciekawieniem.

Ale i tak poczuła się pewniej, gdy daszek czapki przysłonił te jego ślepie.

Ruszył w jej stronę i zatrzymał się tuż obok. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt i szerokie muskularne bary, ale nie sprawiał wrażenia napakowanego. Wyglądał na kogoś, kto umie przewodzić bez potrzeby dominowania. Biła od niego nieco knajacka pewność siebie.

Wyciągnął do niej umięśnioną dłoń.

– Doktor Polk, dziękuję, że pani do nas dołączyła.

Podając mu rękę, Lorna zauważyła długą bliznę na jego przedramieniu, biegnącą od łokcia aż do nadgarstka. Uniosła wzrok i natopkała jego spojrzenie. Twarz o oliwkowej cerze była opalona, co dodatkowo podkreślał ciemny zarost na brodzie i policzkach. Jej wyczulone ucho dosłyszało w jego głosie ślad akcentu cajuńskiego o francuskim zabarwieniu.

A więc też pochodzi stąd. Wydało się jej nawet, że jest w nim coś niepokojąco swojskiego, i po chwili już wiedziała. Miała zamiar domagać się odpowiedzi, po co ją tu sprowadzono, ale zamiast tego jej usta wypowiedziały zupełnie inne pytanie:

– Jack?

Jego wargi – pełne, ale zdecydowanie męskie – zacisnęły się nieco mocniej i mężczyzna ledwo dostrzegalnie skinął głową. Jego obraz w jej oczach uległ nagłej przemianie. Złość nagle ją opuściła, ustępując miejsca czemuś zimniejszemu i jeszcze mniej przyjemnemu. Od ich ostatniego spotkania minęło ponad dziesięć lat. Była wtedy zaledwie w drugiej klasie liceum, on był w klasie maturalnej.

Nie można powiedzieć, że w tamtych czasach dobrze go znała – w liceum dwa lata różnicy stanowią towarzyską przepaść nie do pokonania – ale połączyły ich znacznie bardziej ponure wydarzenia, o których wołałaby raz na zawsze zapomnieć.

Cień, który przemknął po jego twarzy, mógł oznaczać, że jego myśli biegną podobnym torem. W każdym razie nie był to moment na rozdrapywanie starych ran.

– Pani doktor – powiedział sucho – wezwałem tu panią, bo... bo nie bardzo wiedziałem, kto inny mógłby nam coś powiedzieć o tym, co tu znaleźliśmy.

Lorna wyprostowała się i przybrała równie urzędową pozę. Może tak będzie najlepiej. Przełknęła ślinę i z ulgą przeniosła wzrok na trawler.

– A co takiego znaleźliście? – spytała.

– Najlepiej niech pani sama zobaczy.

Odwrócił się i ruszył w stronę kutra. Na pokład prowadziła zwisająca z burty sznurowa drabinka. Wszedł pierwszy, bez trudu wspinając się po chybottliwych szczeblach. Patrzyła na niego, mając świadomość siły jego nóg i mięśni pleców. Zniknął za obudową nadburcia i jeden ze strażników przytrzymał koniec drabinki, by ułatwić wejście Lornie.

Na górze Jack podał jej rękę i pomógł wejść na pokład. Przy klapie prowadzącej do dolnej ładowni trzymało wartę dwóch kolejnych strażników. Jeden z nich podał Jackowi latarkę.

– Spuściliśmy na dół przenośną lampę, szefie, ale w środku nadal jest ciemno.

Jack zapalił latarkę i dał Lornie znak, że ma mu towarzyszyć.

– Uważa na ślady krwi na schodkach.

W świetle latarki ukazała się ciągnąca się przez kilka stopni czerwona smuga. Wyglądało to tak, jakby krwawiące ciało zostało przeciągnięte po schodkach do ładowni.

Nagle odechciało jej się tam wchodzić.

– Nie znaleźliśmy żadnych ciał – zapewnił ją, jakby wyczuwając jej wahanie. Ale może chciał ją tylko poinformować o stanie faktycznym.

Zeszła za nim po schodkach i znalazła się w wąskim korytarzyku.

– Trzymali je w klatce w głównej ładowni.

Nie musiała nawet pytać, co takiego trzymano. Zdążyła już poczuć piźmową woń dzikich zwierząt. Do jej uszu dotarł szmer wiercących się ciał, pojękiwanie i ostry skrzek jakiegoś ptaka.

Wreszcie zaczynała pojmować, dlaczego ją tu wezwano. Przemysł egzotycznych zwierząt stanowił nielegalny proceder, na którym zarabiano miliardy dolarów rocznie, i zajmował trzecie miejsce na świecie tuż za przemysłem narkotyków i broni. Niestety, Stany Zjednoczone należały do największych rynków zbytu dla tego rodzaju kontrabandy, pochłaniając trzydzieści procent światowej podaży.

Nie dalej jak tydzień temu czytała o rozbiciu siatki przemysłowców, którzy handlowali rzadkimi okazami tygrysów. Pewne małżeństwo z Missouri nie sprowadzało wielkich kotów na maskotki do domowej hodowli, ale na części. Sprowadzali tygrysy, żeby je mordować! Skóry lampartów, tygrysów i lwów na czarnym rynku osiągały ceny powyżej dwudziestu tysięcy dolarów za sztukę, ale to nie wszystko. Jak jacyś zdegenerowani rzeźnicy, handlarze szlachtowali zwierzęta i oferowali poszczególne organy: penisy na zmielenie na afrodyzjaki, kości na środki przeciwartretyczne. Żaden organ się nie marnował. Woreczki żółciowe, wątroby, nerki, nawet zęby. Wielkie koty były tym sposobem warte dużo więcej martwe niż żywe.

Idąc za Jackiem w stronę głównej ładowni, Lorna czuła narastającą furję.

Niskie pomieszczenie oświetlała stojąca na środku lampa. Wzdłuż obu dłuższych ścian ładowni ciągnęły się klatki z kratami ze stali nierdzewnej. Większe klatki pod ścianą na końcu nadal tonęły w mroku. Rozglądała się wstrząśnięta ogromem przemytu. Nie miała już wątpliwości, że jako weterynarz specjalizujący się w zwierzętach egzotycznych jest tu niezbędna.

Jack odwrócił się i skierował światło latarki na najbliższą klatkę.

Dopiero zajrzawszy do środka, uzmysłowiła sobie, jak bardzo się myliła.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).